

Impotentna dyplomacja



KRZYSZTOF RAK

Publicysta, ekspert ds. stosunków międzynarodowych

Wyzwanie, przed którym stoimy, ma fundamentalny charakter. Czy w ogóle będziemy uprawiać politykę zagraniczną, czy zastąpią nas w tym mocarstwa (przede wszystkim Niemcy)?

W przewidywalnym czasie Polska nie odbuduje swojej pozycji na arenie międzynarodowej, ponieważ polskie elity polityczne nie posiadają ani krzty zrozumienia dla mechanizmów rządzących stosunkami międzypaństwowymi. Świadczą o tym dwa kazusy: relacji z Wilnem i z Budapesztem.

Rozbrat z Wilnem

Zasięg polityki zagranicznej państwa jest funkcją jego potęgi. Im jest ona większa, tym z reguły szersze jest terytorium, na którym może ono realizować swoje interesy. I tak kraje małe i średnie ograniczają swoje zainteresowanie do swojego najbliższego regionu, a mocarstwa do kontynentu lub nawet całego świata. Polska należy do pierwszej kategorii. A pomimo to zrezygnowała w ostatnich latach nawet z pielęgnowania stosunków z najbliższymi sąsiadami.

W katastrofalnym stanie znajdują się stosunki z Litwą. Państwem, z którym łączą nas wielowiekowe związki histo-

ryczne. Przyczyną jest z jednej strony litewski nacjonalizm, który w Polsce upatruje głównego wroga, a z drugiej – polska mniejszość narodowa, która nie potrafi zidentyfikować się z interesami litewskiej państwowości.

O ile nasza dyplomacja ma ograniczony wpływ na kształtowanie mentalności sąsiednich narodów, o tyle winna wpływać na geopolityczną orientację naszej diaspory i nie dopuścić, by działała ona niezgodnie z interesami polskiego państwa. Ma do dyspozycji bardzo silny argument, jakim są pieniądze na działalność organizacyjną Polaków mieszkających poza granicami kraju.

Problem w tym, że w ostatnim ćwierćwieczu decydenci z Alei Szucha najczęściej brzydzili się polską diasporą jako elementem nacjonalistycznym, który jest raczej przeszkodą w rozwoju stosunków z państwem, w którym ona żyje. Desinteressement polskiego państwa Polakami zamieszkującymi na Litwie wykorzystała Moskwa, która nie miała najmniejszych problemów ze związaniem części działaczy

mniejszości ze swoimi interesami. Taka sytuacja tylko wzmocniła niechęć Wilna do Polaków.

Nota bene, polską dyplomację w ostatnich latach opanowała irracjonalna idiosynkrazja w stosunku do Polonii. Nie sposób tu nie wspomnieć o naszych rodakach w Niemczech, których interesy (np. traktatowy obowiązek rozwoju możliwości nauczania języka polskiego w Niemczech, czy dążenie do formalnego statusu mniejszości) Warszawa ma po prostu za nic.

Tak więc za fatalny stan relacji z Wilnem część odpowiedzialności ponosi również Warszawa. A przede wszystkim były minister spraw zagranicznych, który już na początku swojego urzędowania obraził się na litewskich partnerów i zapowiedział, że jego noga w Wilnie nie postanie.

Obrażanie bratanków

Drugim przykładem dyplomatycznej niemocy jest lutowa wizyta premiera Węgier w Warszawie. Za przyczyną zbliżenia z Putinem premier Kopacz z prezesem Kaczyńskim wręcz prześcigali się, aby upokorzyć gościa. Szefowa rządu publicznie „przywoływała go do porządku”, a szef największej partii opozycyjnej chwalił się ustami swoich współpracowników, że odmówił mu spotkania. Można by zadumać się nad tym, co zostało z naszej tradycyjnej gościnności. Jednak problem tkwi nie w braku kindersztuby, ale w upadku rzemiosła dyplomatycznego w Polsce. Jeśli nie chcemy z kimś się spotkać, to pod byle pretekstem odwołujemy wizytę. Demonstracyjne obrażanie przedstawiciela innego kraju to nie tylko wyraz dezaprobaty dla jego bieżącej polityki, ale także despekt wyrządzony suwerennemu państwu i narodowi.

Z jakiegoś powodu w Warszawie nie rozumie się, że Orban kieruje się racją stanu Węgier, a nie sentymentem do Putina. Prowadząc podmiotową politykę wewnętrzną i zewnętrzną naraził się wielu potężnym europejskim lobby (bankowemu, ubezpieczeniowemu, wielkim sieciom handlowym itp.) i za to był straszony przez Unię Europejską sankcjami. Izolowany w Europie zrobił to, co każdy polityk zrobić powinien: zwrócił się na wschód i nawiązał bliskie stosunki z Putinem. Słabość swoich aktywów na Zachodzie zrównoważył inwestycją w stosunki ze Wschodem. Dzięki temu manewrowi zyskał lepszą pozycję, skierował się znów ku Europie i zasygnalizował gotowość do kompromisu. Ale tym razem już nie z mitycznym Zachodem, ale z Niemcami. Wyraźnie zadeklarował, że Budapeszt w kontaktach z Moskwą nie przekroczy „czerwonej linii”, którą wyznaczy mu Berlin. Posłużyła mu do tego wizyta kanclerz Merkel na Węgrzech na początku lutego br. Zastosował więc klasyczny dyplomatyczny manewr balansowania.

Jeśli chcemy realizować polskie interesy na arenie międzynarodowej, musimy wziąć w nawias proputinowskie sympatie naszych sąsiadów

Orban zrozumiał to, czego ni w ząb nie pojmują polscy politycy; to mianowicie, że we współczesnym systemie międzynarodowym decydującą rolę odgrywają mocarstwa, a nie instytucje międzynarodowe takie jak UE i NATO. Wyciągnął oczywistą

nauczkę z wojny na Ukrainie, że polityka europejska rządzi się zasadami „koncertu mocarstw”. Dlatego Budapeszt gra na oś Berlin-Moskwa. I jest tej decyzji beneficjentem (choćby dlatego, że płaci za rosyjski gaz mniej niż Polska).

Putina w nawias

Polska polityka zagraniczna musi wreszcie zmierzyć się faktem, że wszyscy nasi sąsiedzi, za wyjątkiem Litwy, są przyjaźnie nastawieni do Putina i chcą z nim współpracować. I nie ma na to rady. Trzeba więc postawić pytanie, czy mamy się na nich gniewać i „przywoływać do porządku”, czy pomimo to próbować kooperacji. Odpowiedź jest oczywista: bez dobrych stosunków z sąsiadami nie ma polityki regionalnej, a bez polityki regionalnej nie ma polityki zagranicznej państwa. Wyzwanie, przed którym stoimy, ma więc fundamentalny charakter. Chodzi o to, czy w ogóle będziemy uprawiać politykę zagraniczną, czy zastąpią nas w tym mocarstwa (przede wszystkim Niemcy).

Jeśli chcemy realizować polskie interesy na arenie międzynarodowej, musimy wziąć w nawias proputinowskie sympatie naszych sąsiadów. W przeciwnym razie pozostanie nam wykonywanie nic nie znaczących gestów. Samotnie na arenie międzynarodowej nie osiągniemy niczego. Nota bene, z dokładnie takim przesłaniem premier Orban przyjechał w lutym do Warszawy. Niestety, nie został zrozumiany.

Polscy politycy zarzucają przywódcom małych państw środkowoeuropejskich, że niszczą oni jedność i solidarność Zachodu. No cóż, od dawna wiadomo, że nasi liderzy nie są zbyt przenikliwi. Nie ma bowiem żadnej jedności i solidarności Zachodu, ponieważ już od dawna nie ist-

nieje on jako polityczny podmiot. Rozpadł się na działające w imię własnych, egoistycznych interesów mocarstwa.

Polską dyplomację w ostatnich latach opanowała irracjonalna idiosynkrazja w stosunku do Polonii

Ciężar odpowiedzialności za politykę wobec Moskwy ponosi więc Obama, Merkel i Hollande. Polska klasa polityczna źle adresuje swoje pretensje. Tym bardziej, że i ona nie jest bez winy. Przez ostatnie ćwierćwiecze zrobiła wiele, by nasz kraj trwał w uzależnieniu od rosyjskich surowców energetycznych. Trzeba było włożyć wiele wysiłku, by cały czas przepłacać za rosyjski gaz. Tę przykrą prawdę najlepiej ilustruje historia negocjacji umowy gazowej w latach 2008-10. Dzięki takiej polityce Moskwa rocznie otrzymuje od nas kilkanaście miliardów dolarów. A zatem na budżet rosyjski składamy się w większej części niż Węgrzy, Słowacy, czy Czesi. Eo ipso: premier Kopacz (a przede wszystkim jej poprzednik Tusk) mają większy udział w finansowaniu wojen Putina, niż Orban et consortes. O polityce świadczą czyny, a nie słowa.

Nasze sumienie obciąża zaniechanie. Polityka naszych sąsiadów byłaby zapewne inna, gdybyśmy w ostatnich latach nie zrezygnowali z aktywności regionalnej na rzecz partnerstwa z Niemcami i Rosją. W polityce nie ma próżni. Po prostu ustąpiliśmy miejsca Putinowi.